

DZIENNIK POLSKI

ul. Wielka 1

31-072 Kraków

Nr 283

z dn.

- 5-12-86

665
4**JULIUSZ KYDRYŃSKI**

Gwiazda po latach

Warszawski Teatr Mały! Ta scena ma już swoją niedługą, lecz dość burzliwą historię. Powstała przed trzynastu laty z inicjatywy i staraniem Adama Hanuszkiewicza, naówczas dyrektora Teatru Narodowego i pomysłana była jako przybudówka tegoż teatru. Uroczyste jej otwarcie stało się sensacją artystyczną stolicy. I to z dwóch względów: po raz pierwszy ujrano w Warszawie tak zbudowane wnętrze — czworokątną przestrzeń gry, a więc scenę zabudowaną z trzech stron amfiteatralnie wznoszącymi się rzędami foteli, a z czwartej zamkniętą podestem, służącym również aktorom, którzy wchodziłi nań — podobnie jak na samą, nieco niżej położoną scenę właściwą — specjalnym wejściem, umieszczonym w tylnej ścianie niewielkiej sali. Ta oryginalna architektura samej sceny i audytorium narzucała — jak wielokrotnie potem widzieliśmy — równie oryginalne rozwiązania scenograficzne i reżyserskie. Całość była nie tylko ogromnie funkcjonalna, lecz także estetyczna i — powiedziałbym — przytulna. Wkrótce też Teatr Mały stał się ulubionym miejscem premierowych spotkań warszawskiej elity artystyczno-kulturalnej.

Lecz drugim względem, pod którym uroczystość jego otwarcia stała się małą sensacją, była wystawiona z tej okazji przez Hanuszkiewicza „Antygona” Sofoklesa w przekładzie Stanisława Hebanowskiego, z udziałem samego Hanuszkiewicza w roli Kreona i ówczesnego seniora polskich aktorów Kazimierza Opalińskiego jako Tejrezjasa, poza tym jednak w całości siłami studentek i studentów czwartego roku warszawskiej PWST. Ow pomost, jaki Hanuszkiewicz tym pomysłem obsadowym przerzucił pomiędzy trzema pokoleniami polskiego aktorstwa, był wielce wymowny, a zarazem wzruszający. Przedstawienie — jak może niektórzy pamiętają — wywołało liczne dyskusje i głośnie entuzjazmu, jak sprzeciwu (przeważały te pierwsze). Upamiętniło się zaś przynajmniej jednym wybitnym debiutem — i to w roli tytułowej. Zagrała ją młodziutka Anna Chodakowska.

Ileż znakomitych przedstawień oglądaliśmy później w Teatrze Małym! Wymienię przede wszystkim Mickiewiczowskie „Dziady” („Część III”), oryginalnie zainscenizowane przez Hanuszkiewicza z Krzysztofem Kolbergerem w roli Gustawa-Konrada, wspaniałą „Fedrę” Racine’a z wielką kreacją tytułową Zofii Kucówny (jako Arycja zadebiutowała w tym spektaklu Grażyna Szapolowska, tak dzisiaj znana przede wszystkim z filmów), czy wreszcie „Miesiąc na wsi” Turgieniewa (znów ze świetną kreacją Kucówny). Długo można by jeszcze wymieniać.

Wielkim wydarzeniem w Teatrze Narodowym były zawsze występy Ireny Eichlerówny. Jednakże na przynależnej do niego scenie Teatru

Małego wystąpiła bodaj tylko raz, w spektaklu złożonym z listów Gabrieli Zapolskiej, w którym — rzecz jasna — zagrała Zapolską. Rzecz nazywała się „Ta Gabriela...” i działo się to przed dziewięcioma laty. Od tamtego czasu w Teatrze Małym (ani w żadnym innym) nie oglądaliśmy Ireny Eichlerówny.

Zresztą po odejściu Hanuszkiewicza Teatr Mały stracił jak gdyby swą siłę przyciągania. Nawet na niewielkiej widowni trudno było o komplet, a i atmosfera zapanowała inna. Zabrakło Hanuszkiewiczowskiego entuzjazmu, Hanuszkiewiczowskiej żarliwości...

Aż dopiero w tych dniach znowu sensacja: na scenę Teatru Małego wróciła Eichlerówna! Nic dziwnego, że na premierze tłumy, artystkę — po wejściu na scenę — przywitano owacją, kwiaty, burzliwe oklaski itp. itd.

O tym mi opowiadano, bo na premierze być nie mogłem. Lecz owych „Fizyków” Dürrenmatta, w których Eichlerówna występuje, obejrzałem w kilka dni później. I przyznaję: zobaczenie wielkiej gwiazdy naszej sceny po latach było dużym przeżyciem.

Nie będę pisać o sztuce, grywanej u nas wielokrotnie i dobrze znanej, szlachetnej w swej idei (odpowiedzialności uczonych za zagrożenie, jakie wyniki ich badań przyniosły naszemu światu), zresztą już mocno „trącejcej myszką”. Dürrenmatt wydawał mi się poza tym zawsze pisarzem nieco prerekłamowanym. Ale nie chodzi się dziś w Warszawie do Teatru Małego na Dürrenmatta! Chodzi się „na Eichlerównę”.

I oto ogarnął mnie smutek. Bo po tych kilku dniach, które minęły od tłumnej premiery, przekonałem się, że nawet „na Eichlerównę” już się tak bardzo nie chodzi. Sala była pustawa, artystka nie dostała braw na wejście, nie dostała nawet jednego kwiatka po zakończonym spektaklu. Co się stało? Czyżby po latach przygasł blask gwiazdy?

Otóż nie! Eichlerówna jest w znakomitej formie. Co prawda rola pani doktor Zahnd nie daje artystce wiele pola do popisu, ale w tych niezbyt wielu zdaniach, które wypowiada, odnajdujemy słynną śpiewność i głębię jej niezapomnianego głosu, w głosie — dawną hieratyczność (nawet w tej roli!), w sposobie poruszania się — pamiętną drapieżność, choć jakby już nieco uspokojoną. Więc co się stało?

Zmieniła się publiczność Eichlerówna zniknęła z polskiej sceny na całe dziewięć lat. To się mści. „Jej” publiczność przyszła na premierę, może jeszcze na drugie, trzecie przedstawienie. A potem jej już zabrakło. Ci ludzie, z którymi oglądałem „Fizyków”, po prostu nie wiedzieli, kim jest Eichlerówna. A ona przecież jest wciąż sobą, jest wciąż ta sama. Ona tak, tylko że pani doktor Zahnd, to już nie Fräulein Doktor, nie Balladyna, nie Fedra, nie Maria Stuart...